CO ŁATWIEJ ZNIEŚĆ?
TWOJA CÓRKA JEST OFIARĄ...
CZY MORDERCZYNIĄ?
TAKŻE TEJ AUTORKI
TO JEJ WINA
TAKA MIŁA
DZIEWCZYNA
ANDREA MARA
ALBATROS

Tytuł oryginału:
SUCH A NICE GIRL

Copyright © Andrea Mara 2026
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2026
Polish translation copyright © Anna Esden-Tempska 2026
All rights reserved

Redakcja: Marzena Wasilewska

Korekta: Dorota Jakubowska, Sabina Raczyńska

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: Magnific

Wydawca
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com

WYDAWNICTWO
ALBATROS

1

W DNIU, KIEDY TO się ZACZYNA, Siobhán budzi się z bólem głowy, suchością w ustach i natłokiem mglistych wspomnień z poprzedniego wieczoru. Natychmiast dopada ją niepokój. Po co tyle piła, co powiedziała, kogo obraziła? To było wesele, mówi sobie, piłaś szampana jak wszyscy i nie powiedziałaś nic, co mogłoby kogoś urazić. Tak to już jest po imprezach – radości życia kobiety w średnim wieku. W dodatku piła po raz pierwszy od wielu miesięcy. A jednak nie potrafi pozbyć się wrażenia, że coś się stało. Że coś jest nie tak.

Stopniowo wracają obrazy – bar z drinkami przy basenie, DJ, muzyka z lat dziewięćdziesiątych, goście tańczący jeszcze o drugiej w nocy. Kochany, uroczy Charlie i nieco mniej urocza Emma-Rose mieli swój najszczęśliwszy dzień w życiu, a w ślubach zawsze jest coś radosnego. Siobhán dochodzi do wniosku, że to warte kaca.

Muślinowe zasłony w pokoju gościnnym są ładne, ale niefunkcjonalne. Kiedy siada, lipcowe słońce razi ją w oczy.

Siobhán stara się namacać telefon i mruga, żeby skoncentrować wzrok. Zaskoczona, widzi cztery nieodebrane połączenia od Ré.

Córka nigdy do niej nie dzwoni. Dlaczego telefonowała aż cztery razy o… 4.27 nad ranem? Może po prostu chciała wiedzieć, gdzie jest mama, i powiedzieć „dobranoc”? Mimo to Siobhán przebiega lekki dreszcz. Choć Ré ma już dwadzieścia cztery lata – jest dorosła – i Siobhán szczyci się tym, że nie martwi się (nadmiernie) o córkę, to teraz jest zaniepokojona. Wstaje z łóżka, wybiera łączenie z jej numerem, wkłada biały T-shirt i dżersejowe szorty i czeka. Ale Ré nie odbiera. Na pewno śpi, jasne. Jest dopiero pięć po ósmej. A bawiła się do późna jak ona. Choć teraz Siobhán uświadamia sobie, że nie widziała jej pod koniec przyjęcia. A właściwie kiedy ją widziała? Przy krojeniu tortu na pewno. I rozmawiały tuż przed tym, jak ktoś upuścił tacę z kieliszkami i im przerwał. Ré pytała o coś, ale Siobhán nie pamięta, o co. Próbuje sobie przypomnieć, czy widziała ją jeszcze potem.

Idzie boso po wykładzinie, na której tańczą plamki słońca, a potem cicho schodzi do kuchni.

Grace już tam jest, nachylona nad ekspresem do kawy. Długie włosy niemal zasłaniają jej twarz.

– Dzień dobry – mówi Siobhán. – Widziałaś już dziś dziewczyny?

Jej najstarsza przyjaciółka ogląda się, krzywi i dotyka skroni.

– Jestem już na takie rzeczy o wiele za stara – skarży się. – O której poszłyśmy spać? I dlaczego o szóstej zrywam się z łóżka bez względu na to, jak późno się kładę? Ale nie, nie widziałam ich. Pewnie śpią jeszcze w domku kąpielowym. – Skinieniem głowy wskazuje na okno kuchni, za którym widać taras, dalej basen i domek dla gości, gdzie mieszkają ich córki przez te trzy dni weselnego szaleństwa.

Siobhán z trudem przechodzi przez gardło nazwa „domek

kąpielowy", bo brzmi to tak pretensjonalnie, z amerykańska. A to przecież Dublin, na Boga, basenu można używać najwyżej ze trzy dni w środku lata. Emma-Rose, nowa żona Charliego, lubi jednak nazywać ten domek kąpielowym. A Grace, jako Amerykanka, wcale nie uważa tego za pretensjonalne.

– Ré dzwoniła do mnie cztery razy po tym, jak zasnęłam. Chyba pójdę i zobaczę, co się dzieje.

Grace sztywnieje.

– Dziwne…

– Na pewno wszystko w porządku – rzuca Siobhán. Grace to chyba najbardziej wyluzowana osoba, jaką zna, czasami aż wkurzająco obojętna. Chyba że chodzi o jej córkę. – Podskoczę do nich, a ty może zrobiłabyś i dla mnie kawę?

– Idę z tobą. – Grace odchodzi od ekspresu.

*

Domek kąpielowy, zgrabny bungalow wśród gęstych drzew po drugiej stronie basenu, lśni w porannym słońcu. Jest nieduży. Jedna sypialnia, łazienka, salon. Emmie-Rose służy za domowe biuro i doskonale nadaje się dla Ré i córki Grace, Luny, które nie mają nic przeciwko wspólnemu mieszkaniu. Podobnie jak ich matki, przyjaźnią się od zawsze. Ale w odróżnieniu od matek doskonale śpią, gdziekolwiek przyłożą głowę do poduszki.

Kiedy Siobhán unosi dłoń, by zapukać, zaczyna się naprawdę martwić. Drzwi są uchylone. Popycha je, ogląda się na przyjaciółkę, po czym wchodzi.

Rolety są opuszczone. Chwilę trwa, zanim oczy Siobhán przyzwyczajają się do mroku na tyle, by coś zobaczyć. Przy końcu kanapy leży butelka, wylane piwo tworzy kałużę na drewnianej podłodze. Na dywanie pusty kieliszek ze śladami palców. Obok znajomy bronzer, pęknięty, okruchy pudru

rozsypane dookoła. Na biurku przewrócona mosiężna lampa. Poduszki z kanapy rozrzucone po dywanie. Nagroda, którą zdobyła za swoje dokonania zawodowe Emma-Rose, spadła na podłogę przy oknie. Od zapachu rozlanego, skwaśniałego piwa robi się Siobhán niedobrze, przez co jej kac się nasila, kiedy stara się coś z tego zrozumieć. Czy dziewczyny narobiły tu aż takiego bałaganu? Rusza do drugiego pokoju – sypialni – i delikatnie puka do drzwi. Bez skutku. Na pewno jeszcze śpią. Puka znowu, czując oddech przyjaciółki na ramieniu.

– Po prostu wejdź – ponagla ją Grace.

Siobhán otwiera drzwi i zagląda, mrużąc oczy w jaskrawych promieniach słońca zalewających pokój zza przesuwanych szklanych drzwi. Jedna walizka, jedna torba podróżna. Ubrania na podłodze. Dwa stojące obok siebie łóżka. Puste. Siobhán marszczy brwi. Naprawdę mogły wstać tak wcześnie? Poszły po kawę albo pobiegać? Nie po weselu. Nie po zarwanej nocy.

– Dziwne – mówi, jeszcze raz wybierając numer córki.

I w pierwszej chwili ma wrażenie, że się połączyła, bo słyszy sygnał. Dopiero po chwili orientuje się, że to nie to, czego się spodziewała. Bo tylko słyszy, jak telefon Ré dzwoni. W tym pokoju. W pustej sypialni.

Grace przepycha się przed nią i sięga pod łóżko po prawej stronie. Po chwili ma w ręce znajome fioletowe etui z telefonem. Z telefonem Ré. Siobhán ściska w dołku. Dlaczego jej córka wybrała się dokądś bez telefonu?

– Dzwoń do Luny – zwraca się do przyjaciółki.

– Już to zrobiłam, ale spróbuję jeszcze raz. – Grace wraca do salonu. – Najwyraźniej tu ich nie ma. Poszukajmy w domu.

Idą szybko przez trawnik i wchodzą do kuchni. Panuje cisza. Młoda para zapewne jeszcze śpi. Na ociekaczu przy zlewie są dwa kubki do kawy; na jednym widać ślad różowej szminki

na brzegu. Może używały ich dziewczyny? Ale jeśli tak, to gdzie one teraz są? – zastanawia się Siobhán. I dlaczego Ré nie wzięła ze sobą telefonu? Szum zmywarki to jedyny dźwięk, jaki słyszą, gdy ruszają, by sprawdzić pokoje na parterze.

Salon, który nie jest tak posprzątany jak kuchnia, nosi ślady wczorajszej imprezy – na gzymsie nad kominkiem stoją wąskie kieliszki z resztkami szampana. Obok i na niskim stoliku talerzyki po torcie. Sterta serwetek wciągnęła czerwone wino rozlane na drewnianej podłodze. Ale nie widać żywej duszy. W jadalni, dużym pokoju i gabinecie Charliego też nikogo nie ma. Kiedy idą przez dom, Grace raz po raz próbuje połączyć się z Luną, a Siobhán, której oddech przyspiesza, stara się dodzwonić do koleżanek ich córek. Żadna nie odbiera, ale jest niedziela rano i jeszcze nawet nie minęła dziewiąta.

Zaglądają do pomieszczeń gospodarczych, a potem garażu. Nic. Żywego ducha.

Na piętrze zaczynają od pokoju gościnnego, w którym spała Grace, ale, oczywiście, nikogo tam nie ma.

– To pokój Xaviego, prawda? – szepcze Siobhán, wskazując otwarte drzwi po przeciwnej stronie.

Syn Charliego z pierwszego małżeństwa jest o kilka lat starszy od dziewczyn i mieszka tu, od kiedy jego matka sprzedała dom w Dublinie i przeprowadziła się z powrotem do Portugalii.

– Tak. – Grace podchodzi, by zajrzeć do środka.

Siobhán idzie za nią. Na łóżku są tylko skłębiona pościel i jakieś ubrania. Jedna poduszka leży na podłodze.

– Może są gdzieś razem – mówi. – Mogły pójść balować z Xavim?

– Możliwe. Ale szukajmy dalej.

Na następnym piętrze, po sprawdzeniu pokoju Siobhán, stają przed sypialnią Charliego i Emmy-Rose. Zastanawiają

się, czy można przeszkodzić gospodarzom w pierwszy poranek po ślubie. Siobhán ma opory. Grace, której konwenanse nigdy przed niczym nie powstrzymują, unosi dłoń, by zapukać, kiedy odzywa się kobiecy głos.

Oglądają się i widzą mierzącą je surowym wzrokiem matkę Charliego.

– Nie ma ich. Charlie biega, a Emma-Rose poszła nazrywać jeszcze więcej kwiatów. – Starsza pani prycha z dezaprobatą.

– Ach, tak – mówi Grace. – Tak naprawdę szukamy Ré i Luny. Nie widziałaś ich?

– Nie. – Pani Caine zaciska usta i wpatruje się w Siobhán. – Zauważyłam, że Réiltín włożyła na ślub czarną sukienkę. – Matka Charliego należy do nielicznych osób, które upierają się, by używać pełnego imienia Ré. – Dziwny wybór. Ale Luna wyglądała ślicznie w turkusowej. To taka miła dziewczyna. – Obdarza łaskawym uśmiechem Grace. – Byłam właśnie u Margaret. – Wskazuje skinieniem głowy na sypialnię, którą przydzielono jej siostrze, ciotce Charliego. – Nie zmrużyła oka przez ten hałas. Nie przeszkadzajcie jej teraz.

Pani Caine wycofuje się do swojego pokoju i zamyka za sobą drzwi.

Siobhán i Grace w milczeniu schodzą na parter i wracają do domku kąpielowego. Razem rozglądają się po salonie. Przewrócona lampa. Rozrzucone poduchy.

Wzrok Siobhán pada na dywan. Bo coś przyciąga jej uwagę. Coś ciemnego. Przykuca. Czerwonawobrązowa plama. Do tej pory jej nie zauważyła przez orientalne wzory.

– Czy to… czy to krew? – szepcze schrypnięta Grace.

– Hm… – To zawsze Siobhán uspokajała przyjaciółkę, kiedy ta martwiła się o córkę, i zapewniała, że wszystko w porządku. Ale w tej chwili, wpatrując się w ciemną plamę, nie potrafi

znaleźć właściwych słów. Czy to krew? Niemożliwe. Coś tu chlapnęło. Sos z pizzy albo jakiś kosmetyk do makijażu.

– No dobra – rzuca Grace. – Nie ma co czekać. Musimy wezwać policję.

Siobhán się waha, rozdarta pomiędzy typowo irlandzką niechęcią do popadania w przesadę a autentycznym niepokojem na widok stanu domku kąpielowego, z którego znikły ich córki. Dziewczyny mają po dwadzieścia cztery lata, mogą chodzić, dokąd zechcą, oczywiście, że mogą. Nie mieszkają już z matkami. Nawet nie mieszkają w Irlandii. W każdy inny dzień Siobhán nie miałaby pojęcia, czy Ré spała we własnym łóżku w londyńskim mieszkaniu, czy gdzie indziej. Ale… Wygooglowuje numer lokalnego komisariatu i dzwoni.

Chwilę trwa, zanim udaje się jej wyjaśnić funkcjonariuszowi, który odebrał połączenie, co się dzieje, i – co nie jest specjalnie zaskakujące – mężczyzna nie sprawia wrażenia szczególnie zaniepokojonego.

– Sprawdziła pani u ich przyjaciół? Może odsypiają gdzie indziej?

– Próbowałam, ale nikt nie odbiera. Jest za wcześnie – mówi Siobhán i wie, jak to dla niego brzmi: oczywiście, dziewczyny odsypiają gdzieś zarwaną noc. – Tylko że miejsce, w którym miały nocować, wygląda tak, jakby przeszedł przez nie mały tajfun, a na dywanie jest plama. W dodatku domek kąpielowy nie był zamknięty. I…

– Przepraszam, powiedziała pani „domek kąpielowy”?

Siobhán czuje, że się czerwieni. Znowu to określenie.

– Taki domek dla gości… wie pan… w ogrodzie.

– Poproszę adres. – Jego ton się zmienia.

Zaniepokoił się? Nagle uznał, że to pilne zgłoszenie?

– Kensington Road czterdzieści sześć.

– Dobrze, proszę zaczekać. – Stłumione głosy w tle wskazują, że odwrócił się i do kogoś mówi.

Grace unosi brwi, patrząc na przyjaciółkę, jakby pytała: „Co się dzieje?”.

Funkcjonariusz znów jest przy słuchawce.

– Dobrze. Radiowóz jest już w drodze. Proszę czekać.

Ta zmiana podejścia powinna dodać Siobhán otuchy, tymczasem… robi jej się niedobrze.

Czekając na policję, przeszukują rozległy ogród, teren wokół domku kąpielowego, miejsca do opalania przy basenie, drogę za bramą i wracają do domu, żeby jeszcze raz sprawdzić.

Wreszcie odzywa się dzwonek. Policja już przyjechała.

Siobhán obserwuje ich: dwójkę ubraną po cywilnemu, rozglądającą się wokół domku kąpielowego. Czuje ulgę, a jednocześnie niepokoi ją, że pojawili się tak szybko. Chodzi o dwie dorosłe kobiety, które pewnie znudziło rodzinne przyjęcie weselne. Mają przyjaciół w całym Dublinie, u których są wolne łóżka i kanapy. A ta plama na dywanie… sos z pizzy, niewątpliwie sos. A jednak dwoje detektywów ogląda domek kąpielowy, gdy Siobhán i Grace czekają na zewnątrz.

Kobieta – po trzydziestce, o ciemnych włosach i w okularach z ciemnymi oprawkami – staje w progu i odchrząkuje.

– Moglibyśmy usiąść gdzieś spokojnie i porozmawiać?

Siobhán przebiega zimny dreszcz.

– O co chodzi?

– Może usiądziemy w środku? – Kobieta wskazuje na dom i szybkim krokiem rusza przez ogród w tamtym kierunku. Wchodzi do środka. Dwie matki idą za nią bez słowa.

Siadają w salonie.

Siobhán przełyka z trudem ślinę; w gardle jej zaschło. Grace, nadal w piżamie, zajmuje miejsce obok niej.

– Mogłabym prosić obie panie o wysłuchanie tego? – Detektyw unosi telefon.

W jej twarzy jest coś zagadkowego i Siobhán czuje przypływ przerażenia.

Kiwa głową. Grace zamiera, robi wielkie oczy. Siobhán przysuwa się do niej, by ją pocieszyć, dodać jej odwagi. Ale zdaje sobie sprawę, że nie potrafi. Nie wie, co zaraz nastąpi.

Detektyw włącza nagranie. Nachylają się, by posłuchać.

Ściszony głos. Zbyt cichy i trwa to za krótko, by zorientować się, kto mówi. Szybkie słowa, ledwie dają się zrozumieć.

„Policja? Ratunku! Moja współlokatorka ma nóż. Pokłóciłyśmy się, powiedziała, że mnie zabije. Proszę, przyślijcie pomoc, jestem w domku kąpielowym. Kensing…”

Połączenie się urywa.

Siobhán wpatruje się w telefon; szumi jej w uszach.

– To jest Kensington Road czterdzieści sześć, a mówiła pani, że nocowały w tak zwanym domku kąpielowym – odzywa się detektyw. – Czy na tym nagraniu jest głos córki którejś z pań?

Grace kładzie dłoń na ustach.

– O mój Boże, to Luna.

Zaskoczona Siobhán patrzy na przyjaciółkę, a potem na detektyw.

– Nie, przecież… Myślę, że to Ré.

2

Kiedy staje się jasne, że dwie przyjaciółki nie mogą dojść do porozumienia co do tego, która z ich córek się nagrała, detektywi wychodzą, żeby się naradzić. Siobhán jest odrętwiała. Stale słyszy słowa z nagrania. Dlaczego Ré wzywała policję? Co zrobiła Luna? Przez chwilę próbuje jakoś to sobie poukładać, a potem wstaje i idzie do kuchni. Grace też się podnosi i podąża za nią bez słowa. Dlaczego ona powiedziała, że słyszała głos Luny? Przecież to była Ré! A może nie? Siobhán jeszcze raz przypomina sobie nagranie. Jak brzmi szept jej córki, kiedy jest zestresowana? Popatruje na Grace. Może jej się naprawdę zdaje, że to była Luna?

Dwójka detektywów jest na tarasie. Mówią ściszonymi głosami i ponownie puszczają nagranie. Siobhán nie może tego słyszeć z kuchni, ale zna je już na pamięć. „Moja współlokatorka ma nóż… powiedziała, że mnie zabije…”

Otwierają się gwałtownie drzwi i do kuchni wpada Charlie. Zarumieniony po biegu, ma krople potu na czole. Pędzi prosto do ekspresu kawowego. Uśmiecha się na powitanie, lecz jego uśmiech blednie na widok dwójki nieznajomych wchodzących z tarasu.

Prostuje się.

– Wszystko w porządku?

Siobhán i Grace patrzą na siebie. Od czego tu w ogóle zacząć?

Funkcjonariuszka oszczędza im tego problemu.

– Jestem detektyw Aisling O'Connell – przedstawia się. – A pan?

– Charlie Caine. – Charlie, zawsze uprzejmy, wyciąga do niej rękę, ale czoło mu się marszczy. – Co się dzieje?

– Pan tu mieszka? – pyta detektyw O'Connell, a potem zwraca się do Grace i Siobhán. – Wszyscy tu mieszkacie?

Charlie kręci głową.

– Nie, tylko ja z żoną i synem. Wczoraj odbywało się tu nasze wesele. Grace i Siobhán to moje stare przyjaciółki. Były zaproszone na wesele razem z córkami. – Dotyka ręki Grace. – Grace i ja byliśmy kiedyś małżeństwem, Luna to nasza córka. Mogę wiedzieć, co się stało?

O'Connell kiwa głową.

– Tej nocy odebrano zgłoszenie z telefonu stacjonarnego o zastrzeżonym numerze. Osoba, która dzwoniła, wspomniała o „domku kąpielowym", ale połączenie zostało przerwane, zanim podała pełen adres.

– Ustalono, że telefonowano właśnie stąd?

O'Connell kręci głową.

– Nie. Przy numerach zastrzeżonych sprawdzenie tego zajmuje trochę więcej czasu. Dyspozytor, do którego trafiają zgłoszenia, uznał jednak, że w niewielu dzielnicach Dublina są baseny i domki kąpielowe, więc skontaktował się z komisariatem Cabinteely, bo Foxrock to nasz teren.

Detektyw nie dodaje, że przedmieście Foxrock jest jednym z nielicznych obszarów Dublina, gdzie przy niektórych domach są baseny.

Charlie kiwa głową, choć po jego minie widać, że nic nie rozumie.

– Kiedy ta pani – O'Connell wskazuje na Siobhán – zadzwoniła do nas i poinformowała o zaginięciu dwóch osób pod adresem Kensington Road czterdzieści sześć, skojarzyliśmy to.

Charlie otwiera usta ze zdumienia.

– Co pani ma na myśli przez „zaginięcie dwóch osób"?

– Chodzi o Lunę i Ré – mówi Grace z paniką w głosie. – Nie ma ich, w domku kąpielowym wszystko poprzewracane do góry nogami, a na dywanie jest plama, która wygląda na krew. Luna dzwoniła pod numer alarmowy i mówiła, że Ré… że Ré chce…

Te słowa są dla Siobhán jak cios w brzuch. Grace jest jej najlepszą przyjaciółką. Zna Ré od urodzenia. Jak może myśleć, że skrzywdziłaby Lunę? Ale czy ona jest lepsza, skoro wierzy, że to jej córka się nagrała i że zagrożeniem była Luna?

Siobhán uznaje, że powinna zdobyć się na dyplomację. Nic nie pomoże, jeśli teraz się pokłócą.

– Tak naprawdę nie wiemy, która z nich dzwoniła – zaznacza.

– Myślę, że Luna – szepcze Grace. – Boję się, że to Luna.

– Sądzę – wtrąca się detektyw O'Connell – że nie da się jednoznacznie stwierdzić, czyj głos jest na nagraniu. Najważniejsze dla nas jest odnalezienie obu dziewczyn i zapewnienie im bezpieczeństwa. – Patrzy na Charliego. – Widział je pan dziś rano?

Charlie kręci głową.

– Rano nie. O wpół do ósmej poszedłem pobiegać, zaraz po tym, jak się obudziłem, więc nikogo nie widziałem.

– A wczoraj wieczorem? Mógłby pan powiedzieć, kiedy ostatni raz widział pan córkę i jej przyjaciółkę?

– Pamiętam, że widziałem je podczas krojenia tortu, a chwilę później jak tańczyły z Xavim.

– Z Xavim? – pyta detektyw.

– To mój syn. Starszy.

Detektyw rzuca okiem na Grace.

– Z pierwszego małżeństwa – wyjaśnia Charlie. – Grace była moją drugą żoną. Syn mieszka ze mną.

– Rozumiem. Moglibyśmy z nim pomówić?

– Oczywiście. Poszedł po matchę czy coś. Najwyraźniej nie odpowiada mu to, co tu mamy. – Charlie wskazuje na ekspres. – Kawiarnia jest kawałek stąd. Powinien zaraz tu być. Ale wracając do sprawy zaginięcia… Czy ktoś coś mówił o krwi na dywanie?

– Nie wiemy, czy to krew – oświadcza stanowczo O'Connell. – Będziemy musieli to zbadać.

Charlie oddycha głęboko.

– Więc to może być coś z jedzenia albo lakier do paznokci? A rzeczy są porozrzucane, bo dziewczyny to bałaganiary. I po prostu wybrały się na spotkanie z przyjaciółmi.

Siobhán patrzy na Grace. To, co powiedział, wydaje się prawdopodobne. Dziewczyny niespecjalnie dbają o porządek. W każdym razie Ré. I naprawdę mogły szukać lepszej rozrywki niż to wesele.

– A nawet jeśli to jest krew – dodaje Charlie – czy to nie może znaczyć, że jedna z nich się skaleczyła, na przykład w palec? Wczoraj zaciąłem się przy goleniu i poplamiłem cały ręcznik. – Usiłuje się uśmiechnąć. – Emma-Rose chciała mnie zabić.

– Ale co z tym telefonem pod numer alarmowy? – odzywa się Grace drżącym głosem.

– Mógłbym tego posłuchać? – pyta Charlie.

O’Connell wyjmuje komórkę i puszcza nagranie, tymczasem jej kolega staje przy drzwiach wychodzących na taras, by odebrać telefon, bo ktoś do niego dzwoni.

W głowie Siobhán pulsuje od bólu, gdy stara się skupić, żeby uważnie posłuchać. Czy to Ré? Czy może Luna? Ale przecież Ré by jej nie skrzywdziła. Jest impulsywna, ma temperament, łatwo traci nad sobą panowanie, ale nie coś takiego. Nie wzięłaby noża, nie groziłaby Lunie. Są najlepszymi przyjaciółkami.

– To Luna – mówi Grace, bardziej do siebie niż do innych, a Siobhán się najeża. – Charlie, to Luna – powtarza Grace. – Słyszysz… poznajesz? To głos twojej córki.

Charlie unosi bezradnie dłonie.

– Hm… nie potrafiłbym powiedzieć. To może być każda z nich. Czy tylko to mamy?

O’Connell kiwa głową i zapisuje coś w notesie.

– Niestety, tak.

Siobhán widzi, jak przyjaciółka załamuje ręce. Zwykle tak spokojna, teraz coraz bardziej się nakręca.

– Całkiem jak wtedy, kiedy znikła Arabella. – Wyrywa się jej szloch. – To dzieje się znowu.

Och, Grace, przestań. Siobhán pociera plecy, próbując stłumić irytację.

– To nie tak. Arabella była małym dzieckiem, a nasze córki to dorosłe kobiety. I Arabella została znaleziona. To najważniejsze. Rodzice odzyskali ją jakąś godzinę później, pamiętasz?

O’Connell podnosi wzrok znad notesu. Popatruje czujnie zza okularów szarymi oczami.

– Arabella?

Ramionami Grace wstrząsa bezgłośny płacz. Siobhán bierze na siebie wyjaśnienie.

– Grace opiekowała się dzieckiem pewnej rodziny z Ballsbridge i któregoś dnia niemowlę porwano. Dla niej to była wielka trauma, jak może pani sobie wyobrazić, ale to było ponad trzydzieści lat temu.

Detektyw skończył rozmowę telefoniczną i dołącza do nich, lekko zdezorientowany.

– Przepraszam, dotarła do mnie tylko końcówka, ale nie znam tego przypadku. Jest pani pewna, że dziecko miało na imię Arabella? Wiem chyba o wszystkich zaginionych dzieciach w kraju.

Siobhán kiwa głową. Irlandia jest mała i o tych kilku okropnie smutnych niewyjaśnionych historiach zaginionych dzieci wiedzą wszyscy.

– Arabellę odnaleziono dokładnie półtorej godziny później. Wszystko dobrze się skończyło. – Dla dobra przyjaciółki nie wchodzi w szczegóły.

Grace, od kiedy urodziła się Luna, martwiła się, że historia się powtórzy; rozpieszczała córkę, była nadopiekuńcza i strasznie ją psuła. Siobhán czuje, jak bardzo Grace jest spięta, kiedy dalej głaszcze ją i uspokaja, choć tak naprawdę – wstydzi się tego – chciałaby nią potrząsnąć, powiedzieć: „Daj już wreszcie z tym spokój, to co innego". Ale oczywiście to nieprawda. Bo wydarzyło się to, czego Grace zawsze tak bardzo się bała. Jej córka znikła. A Siobhán złości się, traci cierpliwość, mimo że powinna się skupić na odnalezieniu dziewczyn.

– Puszczę to jeszcze raz. – O'Connell zwraca się do Charliego, może w nadziei, że będzie bardziej obiektywny od kobiet.

– Przykro mi. – Charlie kręci głową, kiedy nagranie dobiega końca. – Dalej nie wiem, która z nich to mówi. Ale na pewno jest jakieś wyjaśnienie.

Musi być, myśli Siobhán. Tylko że na razie nie potrafi go

znaleźć. W tej chwili wszystko wskazuje na to, że ich córki zniknęły i że jedna z nich groziła, że zabije drugą. Albo jest jeszcze gorzej. Jedna z nich już nie żyje, przychodzi jej do głowy, zanim jest w stanie powstrzymać tę myśl.

3

Dwójka detektywów znów wychodzi na taras. Oboje rozmawiają przez telefony, kiedy w kuchni pojawia się Emma-Rose, nowa żona Charliego, świeża jak poranek w kremowym dresie luksusowej marki Celine. Trzyma w ramionach ogromny bukiet różowych róż. Staje jak wryta na widok trójki w kuchni i dwojga obcych na tarasie.

Robi wielkie oczy.

– Co się dzieje?

Charlie wprowadza ją w temat. Emma-Rose nic nie mówi, tylko rozcina sznurek, którym związane są kwiaty. Powoli wkłada je jeden po drugim do wazonu stojącego pośrodku ogromnego dębowego stołu.

– Na pewno wrócą – rzuca. – Z lekkim kacem i dobrym usprawiedliwieniem. – Obraca się do męża, jego byłej żony i jej przyjaciółki, włączając ten swój uśmiech. Przerwa między przednimi zębami sprawia, że wydaje się taka słodka jak zawsze. – Będziecie się z tego śmiać, zanim zaczną nadciągać goście na poprawiny. To znaczy przed pierwszą. – Jej uśmiech staje się bardziej spięty. – O czym pewnie pamiętacie.

Lustruje wzrokiem od góry do dołu obie kobiety. Siobhán

nadal jest w bawełnianej koszulce i szortach, potargana po śnie; Grace ma na sobie pasiastą piżamę i japonki.

– Mnóstwo czasu, żeby się wyszykować – dodaje Emma-Rose, zerkając na zegarek.

Ben, szef cateringu, który doglądał wczoraj wesela, nadchodzi od strony korytarza ze skrzynką kieliszków. Siobhán widzi, że jej przyjaciółka wyraźnie się rumieni, i wraca wspomnienie, jak wczoraj wieczorem dostrzegła ją z Benem na papierosie w ciemnym kącie tarasu. Grace blisko niego, udająca bardziej pijaną, niż była, skarżąca się, że jej zimno. Ben rozcierający jej ręce, żeby ją rozgrzać. Siobhán, przechodząc obok nich, uśmiechnęła się do siebie. I wraca coś jeszcze… Czy Ré nie próbowała jej czegoś powiedzieć? Wszystko się zaciera. Siobhán żałuje, że tyle wypiła. Nie dość, że jest przerażona, to jeszcze gnębi ją poczucie winy, że tak mało pamięta z późniejszych godzin tej nocy.

– Emma-Rose, mam zacząć ustawiać szkło na zewnątrz? – pyta Ben z miękkim szkockim akcentem i nagle urywa, niewątpliwie zbity z tropu tym, że w kuchni jest tyle osób z poważnymi minami. – Może przyjdę później?

– Chodź, chodź, Ben – odzywa się rzeczowo Emma-Rose. Rzuca butne spojrzenie detektyw O'Connell, która właśnie weszła do środka. – Tak, proszę, ustaw kieliszki tam, gdzie wczoraj mieliśmy bar. Do lunchu podamy szampana i wino. O czwartej znów otworzymy bar. Masz barmana, który przyjdzie przygotować wszystko o trzeciej, tak? Ma na imię Robert, prawda?

Ben kiwa głową, nadal niepewny, co robić. Najwyraźniej lepiej wyczuwa atmosferę niż Emma-Rose, myśli Siobhán. Wczoraj był tu do późna. Może widział dziewczyny…

– Ben, chciałabym cię o coś spytać… Byłeś tu w nocy i… – Widzi, jak szef cateringu ze zmartwioną miną zerka na Grace.

– Pomagałeś sprzątać w barze. Może mógłbyś nam pomóc… Szukamy naszych córek, Ré i Luny.

– Dziewczyny w niebieskiej sukience i tej ubranej na czarno, tak?

– Tak. Widziałeś je w nocy?

Ben marszczy czoło.

– Chyba ostatni raz widziałem je, jak tańczyły przy basenie… z synem Emmy-Rose.

– Xavi to nie mój syn – rzuca cierpko Emma-Rose, po czym łagodzi to uśmiechem.

– Och, przepraszam. Myślałem… Ale tak, widziałem, jak tańczyły z tym młodym człowiekiem i jakimiś innymi. To było chyba koło północy.

Siobhán kiwa głową, starając się skupić, przypomnieć sobie. Córka coś do niej mówiła, pytała o coś. Tuż przed tym, jak upadła taca z kieliszkami. O co pytała Ré? Ogarniają ją mdłości. Jakby przypominały jej, że gdyby wypiła mniej, mogłaby to wszystko pamiętać. Dokąd poszła Ré, kiedy upadła taca? Przydałby się ktoś, kto widział dziewczyny później. Ktoś, kto wypełni lukę między tańcami o północy a telefonem pod numer alarmowy. Siobhán wraca myślami do czterech nieodebranych połączeń od córki o 4.27. Zalewa ją zimny pot. Czy Ré dzwoniła do niej po pomoc? Żeby obroniła ją przed przyjaciółką? A może chciała jej coś wyznać?

4

W czasie, gdy przyjeżdżają kolejni policjanci, O'Connell zbiera od wszystkich w domu oficjalne zeznania na piśmie i dane osobiste. Mówią jej o dziewczynach. Gdzie mieszkają w Londynie – obie w Deptford. O pracy Ré w laboratorium i planowanej przeprowadzce Luny do Karoliny Południowej.

– Wyjeżdża w przyszłym miesiącu, więc ten ślub to była ostatnia okazja, żebyśmy pobyły we czwórkę razem – wyjaśnia Siobhán, a Grace zaczyna płakać.

O'Connell pyta o nazwiska przyjaciół, a matki dziewczyn robią, co w ich mocy, żeby przekazać jej namiary, numery telefonów, poczynając od Kayli, która była blisko z Ré i Luną w liceum, oraz Prishy i Abbey, pary, z którą najbardziej się przyjaźniły podczas studiów na UCD.

Detektyw O'Connell pyta o ich partnerów albo partnerki. Obie są singielkami. Luna miała chłopaka, Theo, ale zerwali i on wyjechał do Kanady.

O'Connell prosi o zdjęcia dziewczyn, a potem pyta o kamery, zwracając się do gospodarza.

– Jest kamera przed domem, a druga na tyłach – odpowiada Charlie, który stoi przy blacie, lecz nadal nie zrobił sobie kawy. – Obie połączone z moim telefonem. Sprawdziłem już, ale nie

widać, żeby któraś z dziewczyn wychodziła.

Policjantka daje mu swój adres mailowy, żeby mógł przysłać jej nagrania. Rozgląda się po kuchni, a potem każe Charliemu i Emmie-Rose pokazać sobie resztę domu. Siobhán oddycha głęboko, kiedy wychodzą. Ulżyło jej, że detektyw podejmuje decyzje, prowadzi poszukiwania. Zostaje z Grace w kuchni. Siedząc przy stole z bielonego dębu, przerzucają kontakty i wydzwaniają bez skutku.

W końcu wraca O'Connell i pyta o paszporty.

– Pewnie są w domku kąpielowym, w ich bagażu – mówi Siobhán. – Dziewczyny przyjechały tu prosto z lotniska.

Podrywa się i rusza do drzwi wychodzących na taras, ale O'Connell ją zatrzymuje. Mówi, że sami przeszukają domek kąpielowy, znajdą paszporty i wszystko, czego potrzebują. Na razie nie wolno tam wchodzić.

Siobhán przełyka z trudem ślinę, walcząc z narastającymi mdłościami.

– A co z waszymi domami? – pyta O'Connell. – Czy córki mogłyby się tam udać, gdyby były ranne albo się ukrywały?

„Gdyby były ranne albo się ukrywały". O Boże. Ale to daje Siobhán nadzieję. Ré mogła pojechać do domu, jeśli… miała bójkę z Luną. Bójkę z użyciem noża? Siobhán odgania tę myśl.

– Moja córka tak – odpowiada. – Pojadę tam zaraz i sprawdzę. To tylko piętnaście minut stąd. Mieszkam w Dalkey.

– Nie, nie, poślemy samochód – rzuca O'Connell.

– Nie ma potrzeby, pojadę…

Policjantka podnosi rękę.

– Jestem pewna, że wszystko szybko się wyjaśni, ale ze względu na telefon pod numer alarmowy musimy traktować to jak potencjalne zabójstwo albo próbę zabójstwa. – Zwraca się do Grace. – Pani mieszka w Greystones, tak?

– Mogły pojechać tam albo do Siobhán. Na pewno mają klucze. Chyba że… – Grace urywa.

Zastanawia się zapewne nad tym, czy klucze nie zostały razem z innymi rzeczami w domku kąpielowym, domyśla się Siobhán. Z telefonem Ré. Ze wszystkim poza telefonem Luny.

– Poszukamy kluczy i paszportów – mówi O'Connell, czytając w jej myślach. – A na razie mogą mi panie dać klucze do swoich domów. Przydadzą się nam.

Odchrząknięcie przyciąga uwagę wszystkich do Emmy-Rose.

– Chciałabym tylko się upewnić, czy taśma policyjna zniknie do pierwszej, kiedy zaczną się pojawiać goście.

Wskazuje na drzwi wychodzące na taras i Siobhán to widzi. Nie da się tego nie zauważyć – białej taśmy na drzwiach domku kąpielowego z niebieskimi literami: *Garda Síochána – zakaz wstępu.* Stoi przed nią na warcie mundurowy. Jak przy miejscu zbrodni. Jak w serialach kryminalnych.

Nogi Siobhán robią się miękkie jak z waty. Czy to dzieje się naprawdę? Gdzie, do diabła, jest jej córka i dlaczego nie ma ze sobą telefonu? Co jej zrobiła Luna?

Albo… albo, co byłoby równie straszne: co Ré zrobiła Lunie?

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**. Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- Virtualo
- Publio
- Nexto

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.
Szukajcie ich na portalu Audioteka lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na Facebooku i na Instagramie.